

L. Ciechanowiecka

# Ojciec Leon

Najprzód coś w rodzaju bajeczki. Na ulicy mdleje człowiek. Robi się zbiegowisko. Wnoszą go do bramy. Jest bardzo lekki, przypomina raczej szkielet. W bladej twarzy ciemnieją sine powieki i głębokie bruzdy. Ludziska szarpia biedaka, przemawiają doń, wreszcie ktoś wzywa doktora. Diagnoza: — omdlenie z głodu.

I teraz zaczyna się komedia. Zastrzyk kamfory cuci głodomora. Na scenę występuje policjant. Padają pytania: — kto zacz, skąd pochodzi, do jakiej gminy należy. Czy ma kartę bezrobocia, dlaczego nie należy do ZUP-u i Kasy Chorych. Zjawia się skości, jak w jasełkach pan z magistratu. Powiada, że nie pomoć nie może, bo człowiek nie jest zarejestrowany, papiery nie w porządku. Pan z ZUP-u również jest bezradny — „człowiek” nie ma prawa do zasiłku, bo nie był ubezpieczonym pracownikiem.

Wśród publiczności wywołuje się dyskusja. Na scenę występują kilku mądrych, dobrze odżywionych i dostatnio ubranych panów, którzy przyjrzaawszy się głodomorowi powiadają, kiwając głowami:

— Kryzys, niewątpliwy przejaw kryzysu.

— Jakym radził zastosować inflację — odzywa się jeden.

— A ja od dawna zalecam deflację — odcina się drugi.

Jeden postanawia napisać książkę na temat taylorizmu, inny twierdzi, że tylko racjonalizacja zaradzi złemu.

— Jestem zwolennikiem technokracji — powiada trzeci, w ferworze depcząc po nieszczęśliwcu.

— Należy nakręcać konjunkturę — wtrąca się nowy przechodzień.

— Co też pan mówi — odzywa się jakiś głos — gospodarka planowa, kierowana przez odpowiedzialne czynniki, to jedyne lekarstwo na bezrobocie.

— A co się stanie, jeżeli planowa gospodarka będzie źle kierowana?

I nagle, rozpychając tłum zbliża się niemłody człowiek, w czarnym wyświeconym palcie, spod którego widać szatę zakonną. Pochyla się nad głodomorem, uśmiecha się do niego, nie pyta o papiery, nie dziwi się dlaczego nie ma karty bezrobocia, ani legitymacji kasy chorych, lekceważąc jego przynależność do magistratu, państwową, rasową i partyjną, wlewa mu w usta herbatę, podaje kawał chleba, a potem zabiera biedaka ze sobą do ciepłej izby, gdzie na prymitywnym wiejskim piecu z okapem gotuje się zupa w kotle, a na ławach siedzą ludzie w łachmanach. Przemawia do niego, jak do najmilszego gościa, nie mówi mu, że to już po godzinach biurowych, że powinien wrócić kiedyś do domu i że będzie najprzód musiał wyrobić sobie odpowiednie świadectwa. Zapewnia go, że nie jest opuszczony i samotny, bo ma Boga w sercu i że nawet nędza nie jest straszna, gdy się kocha Chrystusa.

O tym dziwnym człowieku, którego przypadkiem spotkałam chciałabym dzisiaj opowiedzieć. Był kiedyś profesorem filozofii i prawa, przez lat 24 uczył innych filozofii, od lat sześciu wprowadza filozofię w życie. Uznaje jeden tylko system — doszedł do niego przez labirynt tysięcy, zawiłych systemów. Streszcza się on w krótkim zdaniu: — „miłuj bliźniego jak siebie samego”. Uzupełnieniem tego lakonicznego, a jakże wymownego zdania jest jeszcze szereg wskazań i nauk, zawartych w niewielkiej książeczce, znanej ludziom od lat tysięcy, a tak zapoznanej.

Ojciec Leon zapewne pogniwa się na mnie zato, że o nim piszę w gazecie, gardzi bowiem wszelką reklamą, a chociaż dzisiaj mógłby pochwalić się dorobkiem niezwykłym, mało kto — poza rzadką nędzarzy, straceńców, byłych ludzi, wyrzuconych poza nawias społeczeństwa — domyśla się, że w Warszawie mieszka znakomity ekonomista, wobec którego błędna najjaśniejsza gwiazdy ekonomii. Tamci w zaciszu komfortowych gabinetów, w obłokach wonnych cygar anują marzenia o walce z kryzy-

sem i uszczęśliwieniu ludzkości, a pod ich oknami mdleją z głodu ofiary kryzysu.

Dowiedziałam się o istnieniu ojca Leona przypadkiem, ale gdy odwiedziłam go w klasztorze, na Karolkowej (jest redemptorystą, któremu pozwolono zajmować się pracą społeczną), to mi się jakoś wstyd zrobiło, że dopiero teraz dowiaduję się o człowieku, którego krwawa Wola nazywa „bratem Leonem”, włośczy, który uważają go za najlepszego przyjaciela. Znają go mieszkańcy baraków, na Lesznie, Okopowej, w Polusie, w Anopolu, na Żoliborzu i w Syberji, gdzie przebywa element najtrudniejszy do ujarznienia, ha, nawet w szpitalu żydowskim na Czystem i w przytułkach na Powiślu, ojciec Leon jest tak znany, jak ongiś Wincenty z Paulo, albo współczesny święty proboszcz z Ars.

Wiem, wiem... Nie on jeden pracuje „na niwie”, dla biednych, są wspaniałe biura „racjonalnie” urządzone, rozjeżdżają po mieście limuzynami prezesowie filantropijnych instytucji, w kuchniach magistrackich rozdaje się obiady, a żłobki bywają odwiedzane przez „małżonki” najwyższych dygnitarzy. Nie odmawiam im zasług, ale wątpię czy „filantropia w białych rękawiczkach” traktuje każdego nędzarza, jak rodzzonego brata, czy oprócz chleba powszedniego daje mu talizman wiary, który zamienia posępną norę barakową na znośną przystań, wątpię czy owa filantropia potrafi urzędować w izdebkach, gdzie zamiast amerykańskiego biurka jest deska, na krzyżakach, zamiast krzesła belki, na kółkach, zamiast elektrycznych żyrandoli — kopce naftowe lampki.

Ileż to razy słyszmy żalosne skargi:

— Nie mamy pieniędzy na założenie przyzwioitej świetlicy, niema budżetu dla urzędników.

Stary zakonnik z Francji — rodem (zresztą spolonizowany bar-

dziej od Cazin’a, bo przebywa u nas zgórą lat trzydziści), gotów jest urzędować w szopie, albo na ulicy, o ile zetknie się z nędzą „poza godzinami biurowymi” gdzieś na Nowem Bródnie, czy Lesznie. Niema funduszu na odpowiednie biuro? No, to niech będzie biuro nieodpowiednie. W starczy niska rudera, na Karolkowej, z wielką jak stajnia izbą, której głównym meblem jest piec kuchenny. Aby skądś dostać desek, to i ławki się skleci i przepierzenie ustaw, które w razie czego zamieni się na scenę, gdy dla nakarmionych, rezweselonych biedaków urządzi się przedstawienie, czy kino. Niema friziderów, ani kredensów, ale jest zwykła skrzynia, głęboka i szeroka — to spiżarnia, do której wrzuca się paczki żywnościowe, dostarczane przez dobrych ludzi. Każdy może uisnąć na jednej z wielu ławek, w ogrzanej izbie, gdzie w godzinie obiadowej rozdaje się gorącą zupę i bochenki chleba, po jednym dla każdego. Bywa że i czterystu głodnych się nakarmi. A potem z każdym z nich ojciec Leon rozmawia, jak z bliskim druhem, rad mu udziela, budzi w nim jakieś dawno zagasłe, apokaliptyczne uczucia nadziei i wiary w wyższy cel człowieka.

Subsydja? Nikt na to nie liczy. Czynnikiem miarodajnym, bardziej niezawodnym od ziemskich instytucji, jest Opatrzność. Niech mówią co chcą ubodzy duchem, racjonalści, niech się śmieją z tego terminu. Jeśli wolą niech nazwą Opatrzność „Ojcem Atomów”, albo wielkim „Znakami Zapytania”. Jedno jest pewne — ów Znak Zapytania objawia się w sposób iście cudowny.

— Nie — ja na nikogo nie liczę — powiada swoim przemitym francusko polskim akcentem, ojciec Leon — nikogo nie potrzebuję, Opatrzność o nas pamięta. Bywa, że w spiżarni niema ani soli, ani kartofli, a w pie-

niczne ani kawałka drzewa. Ah, Seigneur, myślę sobie wtedy, co to będzie gdy przyjdą moi goście na obiad, a ja im będę musiał powiedzieć, niema nic, mes amis? I zawsze w ostatniej chwili coś się stanie, poprostu spadnie nam z nieba trochę mанны niebieskiej, chleba czy maki i problem jest rozwiązany.

Rzecz niesłychana. Cudownie, zakonnik, profesor prawa i filozofii zaskarbia sobie miłość i bezwzględne zaufanie prostaczków, którzy stracili wszelką wiarę w sprawiedliwość, a każdego kto do ich klanu nie należy uważają za osobistego wroga.

Wędrując od szeregu dni po Woli, po przedmieściach Warszawy, zwiedzając niezliczone oazy, założone przez „brata Leona”, widziałam takie cuda o jakich się ekonomistom nie śniło. Widziałam ludzi, którzy od lat gnieźdzą się w posępnych barakach, podzielonych na kłitki z tektury, podartych gazet i szmat, zbici w jedną żalosną gromadę, napastowani przez upiory głodu i zaraźliwych chorób, którzy, gdy im o-kazać przyjaźń, taką ewangeliczną przyjaźń, niepodobną do protekcyjnej uprzejmości filantropów w białych rękawiczkach, gdy im oprócz chleba dać talizman wiary w Boga, stają się radości, pełni optymizmu i bohaterstwa rezygnacji. O tych rezerwatach nędzy, które chytre społeczeństwo umieściło jaknajdalej od centrum miasta, jako że człowiek syty, organicznie nieznośny widoku nędzy zawiązanej, zgłodniałej, patrzącej z niemym wyrzutem — pisać będę kiedyś dzieł. Dziś powiem tylko jedno — podziwiam anielską cierpliwość parjasów, którzy przeważnie nie z własnej winy, ale z winy ustroju stali się wyrzutkami społeczeństwa, chociaż niejedną z nich zasługuje na większy szacunek, aniżeli „dobrze wychowani” dzentelmeni wzbogacający się cudzym kosztem i dążący do celu po trupach.

I jeszcze jedno. Filantropia w białych rękawiczkach, zwiedzając baraki krzywi się na widok dzieci, które roją się w izbach, jak mrowie. I to w dodatku przeważnie dzieci nieślubne, „bękarty”, jakby je określiła pani Dulska. Więc się daje mądre rady: — Dobrzy ludzie, poco tyle tego? Czy nie słyszeliście o Malthusie, o doktorze Rubinraucie?

Oni na to:

— Wy macie dancingi, i teatry i kina — naszą jedyną rozrywką i pociechą są dzieci (autentyczne).

Otóż wystarczy wprowadzić w czyn system filozoficzny zwany Ewangelią, aby cała sprawa przybrała inny wygląd.

— Nieślubne dzieci — wzdycha brat Leon — poniewierane, pogardzane nieślubne dzieci... Jest jeden sposób, aby zaradzić złu. Poprostu ślub. Sądzić, że rodzice nie pobrali się, bo nie chcieli, bo byli zwolennikami życia ułatwionego? Bynajmniej. Ślub kosztuje — oto wszystko. Więc niechże przestanie być kosztowny, powiada sobie ewangeliczny człowiek. Gdy przyjdzie do niego taka para, co od lat dwudziestu ze sobą żyje, a dzieciaków jest pięć, każde od innego ojca, a wszystkie skazane zgory na tysiączne trudności i upokorzenia, no to się daje ślub darmo, i obrączki także darmo, ba nawet się wynajduje u-branie dla pana młodego i sukienkę dla panny młodej. Główny szkiepł stanowią koszty weselne, bo jeśli chodzi o dzieci, to w tej znacznej społeczności nikt się nie waha przyjąć za własne kilkoro cudzych dzieciaków.

Do głowy nikomu nie przyszło, że trudny problem płatnych ślubów i chrzcina (w tej materji musi nastąpić kiedyś reforma) da się naraże również rozwiązać. Wystarczyło założyć kółko ludzi dobrej woli, co ze składek opłacają w danej parafji śluby i chrzty, brat Leon sprowadził z Francji zapas złotych obrączek,

które rozdaje bezpłatnie, wyrabia własnym sumptem metryki i inne dokumenty, a potem po jakimś czasie dowiaduje się, że u Felka Makolągwy, co „swoją” bijal, a dzieciaki wypędzał na dwór, wszystko się odmięło, sąsiadki przestały dokucać Felkowi, nikt już jej nie uraga, więc i z Felkiem święta zgoda.

Teraz się zdarza, że przychodzą do brata Leona z prośbą o chrzest tacy, co już trzydziestkę przekroczyli, nawracają się marjawi i hodurówcy (poszli tam, bo im darmo dano ślub...), do ołtarza idą osobliwe pary, które żyły latami ze sobą na wiarg, bo na ślub jak się patrzy pieniędzy nie było... I raptem taka odriana — nietylko wesele, ale i obrączki i sukien panny młodej — wszystko za darmo. Takiej rewolucji jeszcze nie było. Zastrachane, zgonione, żyjące w wiecznej niepewności („czy aby mnie nie wygna razem z dziećmi?”) Małki, Stefki, Felki wychodzą z kościoła w jasnych welonach, które niosą za nimi dzieci nareszcie usynowione, uwolnione od piętna „dziecko ojca nieznane”. Można wierzyć, albo nie wierzyć na słowo, ale kto raz na własne oczy widział taką ceremonję, a potem miał sposobność rozmawiać z nowoutworzonymi stadami małżeńskimi, ten zrozumie, że i w tej dziedzinie prosty system brata Leona przyczynia się do radykalnej poprawy stosunków rodzinnych i powoduje rewolucję w dobrym tego słowa znaczeniu.

Możnaby bez końca mówić o wyczynach osobliwego ekonomisty, który zamiast wymyślać nowy „sposób na kryzys”, sięgnął po księgę sprzed tysięcy lat i z niej zaczerpnął wiedzy. Narazie, zanim powrócę do zagadnienia baraków, dodam kilka „suchych” cyfr, wymowniejszych od fraze-sów.

Robinsonowska chatka na Karolkowej, gdzie w ubożuchnej izbie krzątała się jasne anioły zwerbowane przez ojca Leona, może się pochwalić następującymi wynikami:

W ciągu zeszłego roku, od kwietnia, opiekowano się stale dwustu rodzinami bezrobotnych, a dorywczo trzystu, w świetlicach prowadzonych z drobnych składek — 50 dzieci otrzymuje pożywienie i pomoc w nauce, obiadów bezpłatnych wydano 55029, sztuk odzieży 800, znaleziono pracę dla 30 osób, okazano pomoc prawną 61 rodzinom, leczono 43 chorych, udzielono bezpłatnie 38 ślubów, zalegalizowano 27 dzieci, o-chrzczone 44 dzieci, wyrabiano bezpłatnie dokumenty, przygotowano 25 dzieci do Komunji św. i dano im ubrania.

To nie wszystko. W założonych przez ojca Leona „oazach” po-śród baraków, gdzie gnieździ się dwadzieścia tysięcy nędzarzy, prowadzi się świetlice dla setek dzieci, przedszkole, kursy szycia i gotowania. Rozdano 1500 ubrań, odwiedzone blisko cztery tysiące razy ubogie rodziny, o-chrzczone 320 dzieci, zalegalizowano kilkadziesiąt dzieci nieślubnych, itd. itd. itd.

I to jeszcze nie wszystko. Bo człowiek, któremu przyswieca wiara w słusność chrystusowej idei potrafi przekonać wszelkie trudności, urągając prawom natury przenosi się czarodziejskim sposobem z miejsca na miejsce, nie ogranicza się do przystani ubogich na Woli, jest jednego dnia na Lesznie w barakach, i na Powiślu w świetlicy, gdzie gawędzi z ubogimi przyjaciółmi, i w Anopolu gdzie odwiedza chorych i nieszczęśliwych i w Polusie, i w Syberji wśród straceńców, dla których śmierć stała się symbolem wyzwolenia i w szpitalach dla nieuleczalnie chorych, i u Łazarza, nawet w szpitalu żydowskim, gdzie fanatyczni ortodoksi z ghetta chętnie nawiązują rozmowy z „panem księdzem”, mającym dobre słowo dla każdego.

Jedno nie ulega wątpliwości. Żaden zawiły system ekonomiczny nie zbawi świata, dopóki każdy z nas nie wyrobi w sobie psychologji brata maluczkich, nie zastępuje w życiu codziennym zasady — „Miłuj bliźniego, jak siebie samego” i nie uwierzy, że życie ludzkie nie kończy się na tym świecie.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

## Wykład prof. Potomka

(Many w Collegium Maximum w grudniu 2234)

Na poprzednich moich wykładach wyłożyłem Państwu, na czem polegał i jak się rozwijał oraz upadł system pracy pańszczyznianej w Europie, a w szczególności w Polsce w wiekach XVI, XVII i XVIII. Obecnie przejdziemy do zagadnienia wielce ciekawego, a niedostatecznie dotąd przez naukę naszą wyświeconego.

Mianowicie każdego badacza uderza zdumiewający napozór fakt: Czemu Polska, która w ciągu wieku XIX-go wyzwoliła się z systemu pańszczyzny chłopskiej i zniosła niewolę włościan, w wieku XX-tym, jedyne z państw europejskich, do tego systemu wcalej rozciągniętości powróciła?

Próżnobyśmy w dość obfitym materiale źródłowym pierwszej połowy XX-go wieku szukali aktów ustawodawczych, zaprowadzających pańszczyznę — niema ich tam zupełnie. Przeciwnie znajdujemy ustawy, mowy sejmowe i liczne pisma, wskazujące na wielką rolę chłopów, a polityka tego okresu odbywa się nawet pod hasłem: frontem do wsi. Nigdzie nie napotykamy zwolenników przywrócenia pańszczyzny, a jednak w drugiej połowie tego wieku panuje w Polsce system niewoli chłopskiej.

Toteż uczeni późniejsi gubili się w domysłach. Jedni twierdzili, że pańszczyzna XX-go wieku była tylko fragmentem ustroju politycznego, inni — pod sugestią źródeł późniejszych wieków — całą winę przypisywali wyłącznie żydom. Postarajmy się rzecz tę zbadać drogą metody porównawczej.

Porównania dostarcza nam jeden z wybitniejszych mężów stanu państwa austro-węgierskiego, wobec którego błędna najjaśniejsza gwiazdy ekonomii. Tamci w zaciszu komfortowych gabinetów, w obłokach wonnych cygar anują marzenia o walce z kryzy-

rze ustawodawczej, lecz drogą szeregu uzusów i precedensów trojakiego rodzaju. Pierwszy rodzaj, to przywiązanie chłopów do ziemi przez odcięcie mu możności przenoszenia się swobodnego z miejsca na miejsce i uniemożliwienie synom chłopskim wyjazdu na studia lub do miast. Drugi rodzaj, to dowolne zwiększanie świadczeń chłopskich i zniesienie samorządu wiejskiego przez skup sołectw przez panów. Trzeci to wyjęcie chłopów z pod sądownictwa powszechnego i poddanie ich wyłącznemu sądownictwu królewskiemu — starostów.

Czy system ten da się zastosować do wieku XX-go? Niewątpliwie tak.

Przywiązanie do ziemi następuje tutaj stopniowo. Najpierw spotykamy ograniczenia, utrudniające coraz bardziej studia synom chłopskim. Szereg aktów prawodawczych z lat 1932—1940, to ustawa szkolna znosząca niższe klasy szkół średnich, nie wprowadzająca jednocześnie w praktyce wyższych klas szkół powszechnych na wsi, dalej podwyżki opłat w szkołach wyższych, opłaty w szkołach powszechnych, krepowanie stowaryszeń samopomocowych, które najwięcej pomocy nosiły chłopskim synom, nowy rozdział stypendjów, a wreszcie ustawa z r. 1923 ograniczająca przyjmowanie uczniów do szkół średnich i dająca pierwszeństwo synom urzędników. Po roku 1940 wyjątkowo już tylko spotykamy młodzież wiejską w szkołach średnich i wyższych.

Odpiływ do miast zostaje odcięty ze wsi bez aktów ustawodawczych, jedynie drogą systemu podatkowego i reglamentacji świadectw przemysłowych. Ta część ewolucji społecznej XX-go wieku wymaga jeszcze gruntownych studiów.

Wreszcie następuje całkowite glebae adscriptio przez nowelę do przepisów meldunkowych, wydaną w r. 1940, a zakazującą komukolwiek opuszczania stałego miejsca pobytu bez wizy miejscowej władzy administracyjnej pierwszej instancji.

A teraz ciężary przymusowe. W XX-tym wieku w przeciwieństwie do XVI-go nie panowie wsi przeprowadzają dowolność i zwiększenie ciężarów, lecz bardzo ciekawa dla tej epoki instytucja t. zw. Urzędów Skarbowych. W połowie wieku XX-go zostają ostatecznie skasowane odwołania od decyzji urzędów skarbowych w przedmiocie wymiaru świadczeń na rzecz państwa. Na następny wykład podam państwu nader ciekawe cyfry dotyczące wzrostu i rozkładu tych ciężarów w omawianym okresie.

Równoległe z tem idzie akcja, będąca odpowiednikiem skupu sołectwa, a mianowicie akcja zastępowania wybieranych sołtysów i wójtów przez t. zw. komisarycznych sołtysów. W r. 1938 ostatni wybierany wójt gminy Żółkiew na Wileńszczyźnie zostaje zastąpiony wójtrem komisarycznym. Na tem ewolucja się kończy.

Wreszcie sądownictwo patrymonjalne. W latach trzydziestych wprowadzone zostają t. zw. sądy starościńskie, mające moc wymierzania kar doraźnych. Pierwotnie przysługuje chłopom prawo odwołania do sądów i-w-szechnych. Lecz już w następnym dziesięciu lat zostaje wprowadzona poprawka proceduralna, o obowiązku wnoszenia kaucji w razie odwołania. Wysokość kaucji ustala sąd starościński. Z tą chwilą w aktach sądowych giną całkowicie sprawy odwołań wiejskich i próżnobyśmy ich tam szukali. Poza sądownictwem cywilnem, które dopiero w drugiej połowie tego wieku, wsku-

tek stopniowego podnoszenia opłat sądowych w sądach powszechnych przenosi się przed forum starościńskie, reszta sądownictwa nad ludnością wiejską należy już całkowicie do starostów.

W ten sposób następuje połączenie trzech niezbędnych dla wprowadzenia ustroju pańszczyznianego elementów: przywiązanie do ziemi rodzin włościańskich, dowolność w ustalaniu rodzaju i wysokości świadczeń na rzecz państwa wraz ze zniesieniem wybieralności samorządu wiejskiego i wyjęcie ludności wiejskiej z pod sądownictwa powszechnego, które odtąd zajmuje się niemal wyłącznie sprawami pomiędzy warstwą urzędniczą i przemysłową.

Cała ewolucja napotkałaby może na znaczne trudności ogólne, gdyby nie reforma prawa wyborczego, które w tym czasie (data 1935—1938) nastąpiła. Wprowadziła ona tylko jedną pozornie niewielką zmianę, zmniejszając liczbę posłów z 444 na 44. W rezultacie dało to tak wielkie życie i ujednolicenie poglądów wszystkich 41 posłów w ciągu lat pięciu, że różnice partyjne, wyznaniowe i narodowościowe całkowicie się między nimi zatęrzyły. Obserwujemy tu to samo zjawisko, co w radach miejskich w XIV-ym wieku. Urząd powstał stałe się faktycznie dziedziczny i krąży wśród tego samego grona osób, które niedopuszczają do powstania nowych ugrupowań i dzielą się mandatami co pięć lat bez większych zmian, usuwając całkowicie walkę partyjną polityczną w państwie.

Tak w świetle najnowszych badań przedstawia się sprawa wznowienia ustroju pańszczyznianego w Polsce w wieku XX-ym, wznowienia, które doprowadziło do tego, co dziś nazywamy w nauce „okresem upadku społecznego” naszych dziejów.